

## Sukces i porażka

## W warszawskich teatrach operowych

# Miłosne perypetie

Jan Stanisław Witkiewicz

**W**arszawska Opera Kameralna zaprezentowała premierę opery Baldassare Galupiego *Balamut wszystkich pań*, a następnego dnia Opera Narodowa pokazała wznowienie *Madame Butterfly* Giacomo Pucciniego. Dwa całkiem różne dzieła, pochodzące z jakże różnych okresów, mające jednak coś wspólnego. Chodzi oczywiście o ten nieśmiertelny temat, jakim była, jest i będzie niezależnie od wszystkiego – miłość. Zresztą niewiele jest oper w literaturze światowej, które nie mówiłyby o tym uczuciu z jego wszystkimi konfiguracjami i problemami. Niemniej za czasów Galupiego każda opera kończyła się na ogół rozwiązaniem satysfakcjonującym wszystkich uczestników, jak właśnie w *L'amante di tutte*. Dopiero z czasem pojawiły się te wielkie dramaty miłosne, których finałem była śmierć jednego z bohaterów. Właśnie tak, jak w *Madame Butterfly*, gdzie Cio-Cio-San popełnia w finałowej scenie harakiri.

Baldassare Galuppi urodził się 18 X 1706 roku na wyspie Burano, stąd też zwany był także Il Buranello. Pierwszą operę napisał wspólnie z G.B. Pescettim

w wieku dwudziestu dwóch lat. Przyniosła mu ona sukces i być może dlatego poświęcił się pisaniu przede wszystkim oper, których skomponował około dziewięćdziesięciu (niektóre źródła podają sto dwanaście). Tworzył je na zamówienie nie tylko włoskich teatrów operowych, ale także europejskich. Jego librecistami byli przede wszystkim G. Metastasio i Carlo Goldoni. We współpracy właśnie z Goldonim powstały jego najsynniejsze opery buffa, z których najbardziej popularne były *Il Mondo della Luna* (1750) i *Il Filosofo di Campagna* (1754; została nagrana na płytach). Prócz tego skomponował przeszło dwadzieścia oratoriów, wiele koncertów i sonat na klawesyn (niektóre z tych utworów zostały nagrane na płyty kompaktowe). Zmarł 3 I 1785 roku w Wenecji.

Był kompozytorem niezwykle cenionym i sławnym w całej Europie, a także jednym z najlepszych kompozytorów oper buffa, o czym można było się przekonać na przedstawieniu w Operze Kameralnej. Wprawdzie libretto do *L'amante di tutte* napisał syn kompozytora Antonio, ale jest ono w duchu utworów Goldoniego i wywodzi się z *commedia dell'arte*. Tytułowy balamut wszystkich pań Conte Eugenio co rusz

zakochuje się w innej kobiecie, co powoduje wiele zabawnych perypetii. Opera ta bawiła już zresztą naszych przodków, bowiem w 1774 roku – w trzynaste lat po prapremierze – pokazano ją w Warszawie.

Bardzo precyzyjnie, akcentując wszystkie zabawne sytuacje, wyreżyserował tę operową komedię rodowity Włoch Giovanni Pampiglione (wcześniej w Teatrze Wielkim w Poznaniu reżyserował *Semiramidę* Rossiniego). Wykorzystał aktorskie zdolności debiutujących w tej operze młodych śpiewaków, którzy nadzwyczaj sprawnie i sumiennie wykonują powierzone im zadania. A przy tym śpiewają na bardzo przyzwoitym poziomie, wszakże z jednym wyjątkiem. Jest nim odtwórca tytułowej roli kochliwego Conte Eugenio – Michał Kancłerski, który dość sztywno i niezgrabnie porusza się na scenie, a przy tym ma braki w technice śpiewu oraz nie najciekawszy głos. Od strony muzycznej premierę przygotował Piotr Komorowski, który także poprowadził orkiestrę Warszawskiej Opery Kameralnej. Mimo niewielkich potknięć muzycy grali tak, jakby razem z aktorami bawili się tą komedią o beztroskich czasach rokoka. I jeszcze jedno warto jest podkreślić, mianowicie niezwyklej piękności i delikatności kostiumy autorstwa Santi Migneco, który również zaprojektował scenografię.

Każde przedsięwzięcie, którego podejmuje się dyrektor WOK Stefan Sutkowski, kończy się mniejszym lub większym sukcesem. Tego samego nie można niestety powiedzieć o Operze Narodowej, która od paru lat przeżywa same porażki. Przechodząc bowiem do relacji ze wznowienia *Madame Butterfly* muszę zacząć od tego, że niedobrze się stało, że do tego wznowienia w ogóle doszło. Choćby z jednego powodu. Niewiele jest bowiem sensu w nałożeniu nowego makijażu na produkcję, która całkowicie została wyeksploatowana. Przed wznowieniem odbyło się już trzysta piętnaście spektakli od chwili premiery w 1968 roku! Reżyserowała tę operę wówczas Danuta Baduszkowa (obecnie w jej inscenizacji) ze scenografią Stanisława Bąkowskiego.

Reżyser obecnego wznowienia Zbigniew Bogdański ograniczył swoje ingerencje do niewielkich uproszczeń (np. samobójstwo Cio-Cio-San) i ustalenia kolejności wejść i zejść ze sceny. To doprawdy trochę mało, podobnie jak na niewiele zdało się odświeżenie typowej dla lat sześćdziesiątych scenografii.

Jedynym novum był Tadeusz Wojciechowski za pulpitem dyrygenckim, który debiutował tą operą jako dyrektor Opery Narodowej. Zadebiutował nie najlepiej, bowiem pozbawił tę muzykę całego liryzmu i subtelności. Od początku dyrygował szybko – wyjątek stanowił II akt – i głośno. Muzycy, grający zresztą technicznie bez zarzutu, nie mieli czasu na wykańczanie fraz. Dyrygent zmuszał ich do szaleńczego tempa, do jeszcze silniejszego forte i stąd słuchanie stawało się udręką.

Nie tylko ja miałem problemy, o wiele większe mieli śpiewacy, którym nie udało się przebić przez to natężenie dźwięków. Najczęściej tylko widać było, że śpiewają. Wyjątek stanowił Oleg Kulko (Pinkerton), ale to, co robił, trudno byłoby nazwać śpiewem. Nie podejmuję się w związku z powyższym oceny śpiewaków, bowiem tylko częściowo można ich było słyszeć.

Baldassare Galuppi *L'amante di tutte*, reż. Giovanni Pampiglione, scen. Santi Migneco, kier. muz. Piotr Komorowski, WOK, premiera 7 I 1995

Giacomo Puccini *Madame Butterfly*, reż. Zbigniew Bogdański, kier. muz. Tadeusz Wojciechowski, Teatr Wielki w Warszawie, wznowienie 8 I 1995